

Rozmowa z **Panią L.** – mieszkanką Warszawy, która pracowała w przemyśle na stanowiskach ekonomicznych, obecnie jest emerytką, uczestniczy w badaniu POLPAN w roli respondentki od 25 lat.

Badanie POLPAN jest w tym roku prowadzone po raz szósty, minęło 25 lat od jego rozpoczęcia. Chciałam zapytać, jak Pani wspomina początki? Czy pamięta Pani tę sytuację, kiedy Instytut zwrócił się do Pani po raz pierwszy z prośbą o udział w badaniu?

Tak, pamiętam. Ja wtedy mieszkałam w innym miejscu, po drugiej stronie Broniewskiego. To było dwadzieścia parę lat temu, jeszcze żył mój mąż. Syn był studentem. Zupełnie inne były czasy, komunistyczne. Młoda byłam jeszcze w miarę wtedy. Tak że pamiętam. Co do pytań – to nie bardzo, ale czasy pamiętam.

Jak Pani zareagowała na tę wiadomość, że została Pani wybrana, wylosowana? Co Panią przekonało, żeby się zgodzić?

Nie miałam w ogóle obiekcji, czy się zgodzić, czy się nie zgodzić. Ja w ogóle uważam, że takie badania są potrzebne. A dlaczego ja? Po prostu uznałam, że zostałam wylosowana, i koniec. Tak jak cały czas jestem losowana np. do jakiś badań medycznych. Jak nie mam szczęścia do loterii, tak mam szczęście do takich losowań.

Powiedziała Pani, że takie badania są potrzebne. Czy mogłaby Pani powiedzieć troszeczkę więcej, jak Pani to widzi?

To znaczy myślę, że Akademia Nauk przedstawia wyniki takich badań państwowym organom, rządowi, komuś takiemu, kto się tym interesuje. Myślę, że w ogóle ktoś się takimi sprawami interesuje, że to nie jest tylko dla celów naukowych. Takie badania powinny w każdym bądź razie pomagać przy podejmowaniu decyzji ekonomicznych, gospodarczych i innych.

A czy interesowała się Pani wynikami? Czy miała Pani taką potrzebę, żeby dowiedzieć się, co z tego wynika?

Nie interesowałam się. To znaczy, w ogóle nie wiedziałam, jaka jest droga, żeby się z tymi wynikami zapoznać. Teraz jest Internet – może to trzeba było gdzieś tam poszukać. Na pewno chętnie bym poznała wyniki, dowiedziała się, jak inni ludzie się wypowiadają, gdzie ja jestem, w którym miejscu.

Czy jest jakaś część badania, która jest dla Pani uciążliwa, czy trudna, której Pani nie lubi?

Nie, nie. Nie ma nic takiego. To znaczy, na niektóre pytania nie mogłam dać ścisłej odpowiedzi. Wszystkie koleżanki mi zarzucają, że jestem bardzo logiczna i uporządkowana, a jeśli pytanie jest nieprecyzyjne, to wiadomo, że odpowiedź też nie może być precyzyjna. W tych ankietach spotykałam się z takimi pytaniami, ale myślę, że one dlatego są tak sformułowane, że można wtedy więcej rzeczy podporządkować pod taką odpowiedź. Jak pytanie jest bardzo precyzyjne, to odpowiedź musi być ścisła, już nie ma tego obszaru dodatkowego. Tak myślę, ale może jestem w błędzie.

Dobrze Pani myśli. Ale też mogą się zdarzyć jakiś wpadki, kiedy nie przewidziano, że dane pytanie będzie miało nieściste znaczenie.

W każdym razie nie było żadnych takich pytań, które by były dla mnie żenujące albo wchodzące w sferę prywatności. Nie. Znaczący, dla mnie akurat nie. Może ktoś inny by nie chciał odpowiadać, ale mnie to nie przeszkadza.

A czy jest jakaś część tego badania, która jakoś specjalnie Panią interesuje, jest dla Pani ciekawsza, lubi ją Pani?

Na pewno interesują mnie wszystkie pytania, które dotyczą bytu.

Sytuacji materialnej?

Tak. Pytania o sposób mieszkania, o dochody, czy są wystarczające, czy niewystarczające, na co są przeznaczane. Kiedy badanie się zaczęło, ja pracowałam, status mój był zupełnie inny. Byliśmy rodziną. Potem umarł mój mąż. Cztery lata po śmierci męża musiałam iść na emeryturę, bo była transformacja, bank się prywatyzował. Ja miałam wtedy trzydzieści trzy lata pracy i uprawnienia do emerytury, więc zamiast dopracować do sześćdziesiątego roku życia zostałam w pierwszym rzucie zwolniona. Moja emerytura początkowa to było 900 złotych. Tam w ankiecie było pytanie, jaka emerytura by Panią zadowalała, i ja wtedy powiedziałam, że jakbym miała 2000, to wystarczałoby mi na wszystko [*śmiech*]. W tej chwili nie ma mowy żeby 2000 wystarczyło. Ja teraz mam 1800 złotych emerytury i absolutnie to nie jest wystarczające na wszystko. Na pewno wystarcza na jedzenie, na opłacenie rachunków, bo to nie jest niska emerytura. Zdaję sobie sprawę z tego, jakie są na przykład emerytury na tym osiedlu, jak dużo tu jest samotnych kobiet, które mają emerytury po 800 złotych albo niecałe 800. Zapytałam jedną panią, jak ona sobie radzi za te osiemset złotych. A ona mi mówi: nas jest dużo w bloku, takich sąsiadek, i całe szczęście, że mamy w innych terminach te emerytury. I po prostu jak ja dostaję emeryturę, to płacę rachunki i oddaję długi, a od innej pożyczam. I tak jest cały czas.

Niesamowite.

Niestety, takie jest życie. Na szczęście ja jeszcze do tej pory nie muszę wydawać na leki. Nie narzekam. Mnie wystarcza. Nie wystarcza mi na przykład na kulturę w ogóle. Wyjście do teatru czy do opery to się zdarza dwa razy w roku i to jest wielkie święto. Na prasę papierową nie ma, ale teraz mam Internet, syn mi kupił laptopa. Trzeba liczyć każdy grosik, ale nie jest źle. Mam paszport w domu. Mogę sobie wyjechać, gdzie mi się podoba i kiedy mi się chce. Nie muszę chodzić do urzędu, gdzie jakiś pan mi mówi, że z dzielnicy do dzielnicy dokumenty nie przeszły, i takie różne rzeczy. A po co państwu zdjęcia – pytam – jak ja już tyle razy zdjęcia składałam? Bo my sobie robimy taki pamiątkowy album – on mi odpowiada. Zresztą, szkoda gadać, jak to było.

To jest ważne, co Pani mówi, jak bardzo się zmieniło przez te 25 lat.

Tak, oczywiście, że tak. Dzieci moje wyjeżdżają co roku za granicę. Ale wie Pani, minusy też są. Chociaż mój rachunek jest taki, że plusów jest więcej. Moje pokolenie, a może szczególnie ja, zostałam wychowana w ideach wolnościowych, a przez całe życie byliśmy gnębieni. Ojciec mój był żołnierzem AK, uczestnikiem Powstania Warszawskiego, więc po

wojnie było nam bardzo ciężko, ale nie można tego było zmienić, bo jak? Tak że jak wybuchła ta wolność – o którą walczyli inni, bo ja akurat nie, ja tylko do niej wzdychałam – to były pewne nadzieje i niektóre z nich się spełniły, a niektóre nie. Wiadomo, że w tej chwili ludzie, którzy mają znajomości, dobre wykształcenie, dużo szczęścia, zdrowie, mają pracę i mają lepiej. Chociaż też widzę, jak mój syn po prostu się zabija, tak dużo pracuje, bo ma ambicje, dzieci chodzą do prywatnej szkoły, wyjeżdżają na ferie, na wakacje. Ale dobrze, że ma pracę. Z kolei moja mama mieszka w Radomiu. To miasto jest kompletnie zniszczone przez nową władzę. To było miasto, gdzie była wytwórnia broni, gdzie był Radoskór, była wytwórnia papierosów, dużo przemysłowych zakładów – i nie ma nic.

Wszystko to upadło?

Nic kompletnie nie ma. Młodzi ludzie wyjechali za granicę, a część dojeżdża codziennie do Warszawy, do Łodzi. To jest męka. A cała reszta siedzi po skwerach i pije, nie wiadomo za co. Jedna rozpacz. Także jest i tak, i tak.

Jeśli chodzi o POLPAN, to na początku nie miało to w ogóle być badanie powtarzane cyklicznie, ale ponieważ tak wyszło, że zostało po raz pierwszy zrobione w 1987-88 roku, po czym za chwileczkę system się zawalił i wszystko zaczęło się tak bardzo zmieniać, to zapadła decyzja, żeby badanie powtórzyć i porównać sytuację, zobaczyć te zmiany.

Bo zaszły zmiany. Oczywiście, że tak, pewnie.

Później było może mniej tych zmian, ale też różne rzeczy się działy, zaczęła się na przykład emigracja zarobkowa.

Tak, do Londynu, do Irlandii, do Niemiec. Tam jest praca, są mieszkania. Ja mam znajome z Radomia, dwie kobiety, które właśnie pracują w Londynie jako pokojowe w hotelach i dobrze im się żyje. Ich dzieci też są za granicą, są już tam wykształcone, mają już zupełnie inaczej. Ale na przykład mój syn powiedział, że absolutnie nie, jemu się tu podoba, to jest jego kraj i on nie chce nigdzie jechać. A zawód ma taki, że mógłby się przebić, języki zna, synowa tak samo. Chcą być w Polsce. Ja im się wcale nie dziwię, bo też troszkę jeździłam i zawsze, jak wracałam do Polski, to nawet jak nic po drodze nie było, nie było się gdzie napić kawy, drogi były dziurawe, to czułam, że nie ma nigdzie tak pięknie. Teraz to się wszystko zmieniło, wszystko jest i naprawdę jest pięknie, co by się nie mówiło. Może by można było za te pieniądze, które z Unii dostajemy, zrobić więcej, ale ja uważam, że się bardzo dużo zmienia.

Wracając do badania, czy zastanawiała się Pani kiedyś nad zawartością ankiety? Może na przykład pojawiła się myśl, że brakuje pytań o jakąś dziedzinę?

Nie. Myślę, że ten, kto bada, wie, jakie chce zadać pytania, bo jemu to do czegoś służy. Ja do tego nic nie mam. Wydaje mi się, że jak już badanie prowadzi profesor z Akademii Nauk, to on wie, o co zapytać i jak zapytać, a ja nie mogę się do tego wtrącać, bo w ogóle nie mam kompetencji. Nie jestem uprawniona.

Czy chciałaby Pani zapytać o coś tych, którzy tworzą projekt badawczy?

Na pewno byłabym ciekawa, jakie są wyniki w niektórych obszarach, jak to się rozkłada, ale pytań jako takich nie mam.

A czy miałaby Pani jakieś uwagi dla ankieterów?

A nie, dla ankieterów to tylko same dobre uwagi. Wszystkie panie były nadzwyczaj sympatyczne i bardzo nam się miło umawiało i rozmawiało. Poprzednia pani jak była tutaj to się zasiedziała, gadałyśmy chyba ze trzy godziny. Ja jestem gaduła. Pani słuchała cierpliwie, ale też opowiadała, bardzo było miło. Bardzo sympatycznie, nadzwyczaj.

Co Panią przekonuje, żeby nadal uczestniczyć w badaniu? Wiele osób odmawia. Mówią, że już się wypowiedzieli tyle razy, że teraz ktoś inny, że nie mają czasu.

Wie Pani, ja jestem optymistką i wierzę, że nadzieja umiera ostatnia, więc uważam, że takie badania są potrzebne, dlatego że one mogą coś zmienić. Mam nadzieję, że one będą miały na coś wpływ i dlatego w nich uczestniczę. A dużo ludzi uważa, że nie ma sensu nic robić, nic mówić, dlatego że to i tak nic nie da. I najprawdopodobniej dlatego odmawiają. A starsi ludzie, jeszcze starsi ode mnie, to myślę, że z obawy.

Że nie wiadomo, kto to przyszedł i co się stanie, jak się zgodzę?

Że jeżeli się wypowiem szczerze, to coś się może zdarzyć, a jeżeli się mam wypowiadać nieszczerze – to po co, to bez sensu. Wielu ludzi nie wierzy, że w ogóle sami mogą coś zrobić, coś zmienić, nawet takie naprawdę prozaiczne sprawy. Ja często teraz jeżdżę do Radomia, do mamy. Chodzę z psem. Muszę chodzić daleko, żeby pies mógł pobiegać, ale po drodze on się załatwi. Ja to sprzątnę, bo tutaj u nas większość sprząta. Patrzą tam na mnie jak na wariata. Potem z tą torebką chodzę pół godziny, bo nie ma jej gdzie wyrzucić, nie ma w ogóle pojemników na śmieci. I rozmawiam z jedną sklepikarką, z drugą: czy pani to nie przeszkadza, co na tym trawniku się dzieje? Przeszkadza. A dlaczego się nie postaracie, żeby były kosze? A gdzie to się starać? Ja mówię, że trzeba do gminy napisać. A co to pomoże? I widzi Pani. Spotkałam dwóch strażników miejskich. Mówię: dobrze, że panów widzę, tutaj w ogóle nie ma pojemników na śmieci, może by pan powiedział swojemu szefowi albo napisał jakąś notatkę? Dobrze, mówi, powiem mojemu szefowi, ale wie pani, co z tego będzie – nic. Ja mówię: może jednak akurat pan coś zmieni. Myślę, że podobnie jest z tymi ankietami, ludzie uważają, że już nic ich nie czeka, że już nic nie mogą zmienić, pomóc. A ja uważam, że zawsze mogę pomóc, a zmienić – to zobaczymy. Trzeba cały czas próbować. Widzi Pani tutaj tę koronę? Ona mi tak mocno siedzi, że na pewno nie spadnie, jak zrobię to czy tamto.

Chciałam jeszcze zapytać Panią o listy, które wysyłamy z Akademii, uprzedzając, że przyjdzie ankieter. Jak Pani to ocenia, co Pani o tym sądzi?

Pomysł jest dobry. Listy wyjaśniają, co ma na celu badanie. Poza tym zapowiadają ankietera – to jest takie jego umocowanie, że przyjdzie ta osoba, a nie inna, bo ludzie też się boją wpuszczać obcych. Kiedyś przyszedł do mnie dzielnicowy z kimś jeszcze na wywiad, bo chcieli zapytać o sąsiadkę. Zapraszałam ich do mieszkania, a oni nie chcieli wejść, powiedzieli, że nie, przy wejściu porozmawiamy. Ja powiedziałam, że nie będę przez drzwi rozmawiać, że jestem sama i żeby się nie bali, nic im nie zrobię. A mam przyjaciółkę adwokata, ona zna różne sytuacje i jak jej to opowiedziałam, to ona mówi: ty chyba zwariowałaś! Jak można do mieszkania wpuszczać? A czy ty wiesz, czy to byli prawdziwi policjanci? Po czym poznałaś? Nie wiesz, że chodzą przebierańcy? Nie wolno czegoś takiego robić. I zawsze mnie tak do pionu sprowadzi. Tak że dużo ludzi się boi wpuszczać. Listy są

dobrze, potrzebne. Ja zresztą czuję się taka ważna, jak przychodzi do mnie list z PAN. Nie tylko mam w skrzynce rachunki do zapłacenia, ale też inną korespondencję.

A co Pani sądzi o tych upominkach, które przy okazji badania zostawiają ankieterzy? Czy to jest dobry pomysł?

To jest bardzo sympatyczne. Ja dostałam teraz od tej pani, która była ostatnio, paski odblaskowe, oprócz długopisu. Nawet dwa, bo żeśmy się zgadały, że ja mam dwoje wnucząt. Tak że zawsze jest to miła pamiątka. Można dalej przekazać, można mieć. Ja się w ogóle cieszę z drobnych takich rzeczy. Co prawda o wiele bardziej wolę dawać, niż brać, większą mi to sprawia przyjemność.

Czy chciałaby Pani powiedzieć coś jeszcze na temat tego badania?

Myślę, że niech trwa, niech jeszcze trwa. Najciekawsze jest w tych badaniach to, jak się porównuje początek z końcem. Jak to się zmienia w wypowiedziach ludzi, bo dużo się zmienia. Nie mówię, że światopogląd, tylko oczekiwania, warunki bytowe.

Ja pracowałam przez dwadzieścia pięć lat w zakładzie produkcyjnym, w planowaniu. Za komuny jak wiadomo była gospodarka planowa, były plany 25-letnie, 10-letnie, 5-letnie, 3-letnie, roczne, operatywne kwartalne, a jeszcze czasem sobie komitet dzielnicowy partii zażyczył dekadowych, 10-dniowych. Bardzo ciekawe było po dziesięciu latach porównanie tego 25-letniego planu sprzed 10 lat i tego, jaki jest plan bieżący, jak to się zmienia. To był zakład taki techniczny, który produkował aparaturę pomiarową dla jądrowki. 98% produkcji szło do ZSRR, więc myśmy tam po prostu mieli kokosy, ponieważ rubel był droższy od dolara, były zyski, pieniądze, nagrody. Natomiast nasze państwo niestety musiało czekać albo sobie kupować aparaturę ze Stanów, z Zachodu, i płacić za to grube pieniądze. Taka była polityka. Po 1989 roku wszystko upadło.

To były zupełnie inne czasy. W większości fabryk czy dużych zakładów pracy było tak, że pracownicy stanowili jedną wielką rodzinę. U nas pracowało ponad 500 osób. To byli rodzice. Potem pracowały te dzieci, które się nie chciały uczyć. Straszło się, że jak nie będziesz się uczyć, to przyjdiesz do pana Józia na rewolwerówkę. To już było najgorsze. Wie Pani, co to jest rewolwerówka?

Nie wiem.

To jest taka obrabiarka, która robi dziury. Nic więcej, tylko się siedzi. Dostaje się taki element, na którym są zaznaczone miejsca, i tylko tak: pyk, pyk, pyk. I rzeczywiście te dzieci, które się nie chciały uczyć, to przed wojskiem do nas przychodziły, bardzo dużo było młodzieży, bo przychodzili też do nas na praktyki z Technikum Nukleonicznego. Ta młodzież potem kończyła technikum, przychodziła do pracy. Pobierali się, jak to młodzi. Nowe rodziny, nowe dzieci. Z tamtego czasu mam przyjaciół po dziś dzień. Ostatnio rozmawiałam z kolegą, a on mówi: słuchaj, już nie ma naszego zakładu. Ja mówię: przecież już dawno nie ma naszego zakładu. Tak, nie ma, ale jest w ogóle zrównany z ziemią. Nie ma nawet gruzu – mówi. A to był trzypiętrowy budynek, gdzie były biura i hala produkcyjna, i nie tylko. I jeszcze duża działka na Służewcu. I oczyszczalnia ścieków własna. I budynek magazynowy. A teraz najprawdopodobniej będą budować tam coś dużego, bo w tej okolicy teraz są tylko biurowce, banki, instytucje. Wszystko pięknie się pozmieniało. Nawet stacja benzynowa, na

której godzinami wystawaliśmy w kolejkach po benzynę w tych czasach, kiedy była na kartki. I nasz budynek też przepadł. Nie ma nic.

Najgorzej mają te koleżanki, które się trzymały do końca tego zakładu. Nie mają teraz nic kompletnie, nie mają do kogo się zwrócić. Odchodziły bez odpraw, pracowały w okropnych warunkach. A ja, dzięki temu, że pracowałam potem jeszcze prawie osiem lat w banku, mam opiekę medyczną, mam opiekę socjalną, mam dofinansowanie do wczasów. Mimo prywatyzacji banku ten socjal jest utrzymywany. Bank bardzo dobrze stoi i aby tak do mojej śmierci [śmiech].

Dziękuję bardzo za rozmowę.

*rozmawiała Danuta Życzyńska-Ciołek
6 czerwca 2013 r.*